

Żale Rzeckiego

Gry polityczne, argumenty wielkiej wagi, milionowe elektoraty. A na drugiej szali tylko osiem chudych płomyków.

„W ogóle, może od roku, uważam, że do starozakonnych rośnie niechęć; nawet ci, którzy przed kilkoma laty nazywali ich Polakami mojżeszowego wyznania, dziś zwą ich Żydami. Zaś ci, którzy niedawno podziwiali ich pracę, wytrwałość i zdolności, dziś widzą tylko wyzysk i szachrajstwo.

Słuchając tego, czasem myślę, że na ludzkość spada jakiś mrok duchowy, podobny do nocy. W dzień wszystko było ładne, wesołe i dobre; w nocy wszystko brudne i niebezpieczne. Tak sobie myślę, ale milczę; bo cóż może znaczyć sąd starego subiekta wobec głosu znakomitych publicystów?”

Tyle pan Ignacy Rzecki, oficer piechoty węgierskiej, naiwny idealista, który wspominał „wiek, co napisał na swoich sztandarach: wolność, równość, braterstwo”, a pamiętał pewnie (choć przez ostrożność nie wspominał o tym w pamiętniku) również rabinów Dow Ber Meiselsa i Izaaka Kramsztyka zamykających warszawskie synagogi na znak solidarności z katolikami, których kościoły zbezczęścili Kozacy, i

Henryka Wohla – wychowanka Szkoły Rabinów, dyrektora Wydziału Skarbu Rządu Narodowego, sybiraka. „Sentymenty! Sentymenty!” – mógłby na to zawołać doktor Szuman.

Przeczytaj również: Czytelnia publiczna – recenzje Wojciecha Stanisławskiego

Podobnymi sentymentami kierował się, jak sędzę, Lech Kaczyński, zapalając po raz pierwszy chanukiję w Pałacu Prezydenckim w grudniu 2006 roku. Była w tym goście zarówno pamięć Meiselsa i Kramsztyka, jak Juliana Tuwima i Pawła Hertz, Janusza Korczaka i Leopolda Tyrmanda. Była świeższa pamięć lat 80. XX wieku i fenomenu odzyskiwania przez „ludzi Solidarności” pamięci o wielonarodowej Rzeczypospolitej. Była pamięć Zagłady – i naiwna, pewnie tak, wiara, że „dwa najsmutniejsze narody na Ziemi” będą chciały i potrafiły opowiadać nawzajem swoje straszliwe dzieje z lat drugiej wojny światowej nie starając się przesłonić czy umniejszyć cierpień tego drugiego.

Tak, było to pewnie założenie naiwne. „Polityka pamięci” w polu międzynarodowym okazała się przez lata, jakie minęły, polem bardzo ostrej rywalizacji. Nie ma w niej, jak się okazuje – a przynajmniej niełatwo znaleźć – „mieszkań wielu”, w których pomieściłyby się różne opowieści. Jeszcze trudniej o wzajemność, dyktowaną czy to przyjaźnią, czy rozważą: z pewnością w Beit HaNassi, czyli oficjalnej rezydencji izraelskiej głowy państwa, nie jest w żaden sposób celebrowany na przykład trzeciomajowe święto. Zabawnie byłoby nawet podejrzewać to, znając nader chłodny stosunek izraelskiej klasy politycznej do Polski w ostatnich latach.

Inna rzecz, że święta Chanuki to rzecz dość osobliwa: oczywiście, zaczynają się od cudu z czasów powstania Machabeuszy, mają swój wymiar religijny i historyczny, ale stały się też gestem, obrzędem, znakiem trwania, w żaden sposób nie związanym z konkretnym państwem. W tym sensie niełatwo znaleźć dla nich analogię wśród świąt i obyczajów polskich: może najbliższą jeszcze byłaby Wilia, którą – nie czcząc zwykle narodzin Syna Bożego w Betlejem – obchodziły, z choinką, złotymi orzechami na niej i kolędą tysiące Polaków pochodzenia żydowskiego: ponieważ jest ona również arcy-polskim świętem trwania. Nie jest więc zapalenie chanukowych świec aktem apostazji – a tym bardziej w migotliwym świecie wysokich urzędów publicznych, których powaga i ranga w okazałej mierze utkane są z gestów, ceremonii i znaków: z tysięcy listów gratulacyjnych, pochyleń głowy przed flagami obcych państw, dziesiątków tysięcy uścisków dłoni, które nie są przecież wyrazem osobistej sympatii czy choćby relacji, lecz narzędziem, nazwijmy to, redystrybucji szacunku.

Przeczytaj również: Isaac Bashevis Singer – pisarz żydowski, polski, amerykański?

Oczywiście, powaga urzędów budowana jest również z konkretnych posunięć, sił i decyzji. Rozumiem to: rozumiem szczególnie wspomnianą wyżej, nazwijmy to, asymetrię życzliwości, czyli sytuację, w której ze strony państwa Izrael nie bardzo liczyć można nawet na zmianę formuły „Marszów Pamięci” na bardziej przyjazne Polsce, nie mówiąc o posunięciach bardziej ważkich. Rozumiem że emocje odkrywania na nowo wielonarodowego charakteru Rzeczypospolitej, tak żywe pod koniec XX wieku, mogą należeć do przeszłości albo przynajmniej wydawać się staroświeckie. Rozumiem i uznaję argument,

że jeśli już przy pomocy symbolicznych gestów odwoływać się do tego dziedzictwa wielu narodów, należałoby pomyśleć o świętach polskich Tatarów, Rusinów czy Litwinów.

Rozumiem potrzebę zaznaczenia odrębnego stanowiska w bardzo twardej grze, jaka toczy się między najwyższymi urzędami w państwie. Ba, rozumiem w pewien sposób znużenie samym ciężarem gestów, które młodszymi pokoleniom wydają się sztuczne i konwencjonalne, a natrętne przypominanie o nich, przysłowiowe „pamiętaj pocałować babcię w rękę, kiedy składasz życzenia” może tylko drażnić. I tak, rozumiem wreszcie potrzebę liczenia się z wrażliwością (choć może w tym przypadku niewrażliwością) części swojego elektoratu, który – sądząc z euforii w mediach społecznościowych – nigdy nie słyszał ani o Kramsztyku, ani o Tuwimie, ani nawet o Rzeczypospolitej Wielu Narodów, skoro radośnie pohukuje „w Polsce należy obchodzić polskie święta!”.

Tak, być może w świetle wszystkiego, co powyżej, można było rozważyć jakiś tuning tej w końcu niespełna dwudziestoletniej tradycji, jaką było zapalenie świec chanukowych w Pałacu. Dobry mistrz ceremonii – jest to w końcu profesja blisko spokrewniona z choreografią i ogrodnictwem – posiada wiele narzędzi, które pozwoliłyby przyciąć knoty, by blask tegorocznej chanukiji nie był tak jaskrawy. Mniej rzucałaby się ona w oczy niż ta ciemność w jednym oknie.

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj również: Felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”

